

Andrzej Sapkowski, *Maladie*.

Widzę tunel lustrzany, wyłobiony, zda się
W podziemiach moich marzeń, groźny i zaklęty
Samotny, stopą ludzką nigdy nie dotknięty
Nie znający pór roku, zamarty w bezczasie.

Widzę baśń zwierciadlaną, kędy zamiast słońca
Nad zwłokami praistnień orszak gromnic czuwa
Baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca...
Bolesław Leśmian

Bretania, odkąd sięgnę pamięcią, kojarzy mi się z mżawką, z szumem fal, wdzierających się w poszarpaną kamienistą plażę. Barwy Bretanii, którą pamiętam, to szarość i biel. I oczywiście aqua marina, jakżeby inaczej.
Dotknąłem boku konia ostrogą, ruszyłem w stronę wydm, szczerzej otulając się płaszczem. Drobne krople - zbyt drobne, by wsiąkać - osiadały gęsto na tkaninie, na grzywie konia, mętną parą ćmiły połysk metalowych części ekwipunku. Horyzont wypluwał ciężkie, kłębiaste, szarobiałe chmury, toczące się po niebie w stronę lądu.
Wjechałem na pagórek, porośnięty kępami sztywnej, szarej trawy. I wtedy ją zobaczyłem, czarną na tle nieba, nieruchomą, zastygłą jak posąg. Podjechałem bliżej. Koń ciężko stapał po piachu, wilgotnym tylko cienką, wierzchnią warstwą, pękającą pod naciskiem kopyt. Siedziała na siwym koniu, niewieścim sposobem, owinięta ciemnoszarą, powłóczystą opończą. Kaptur miała odrzucony na plecy, jej jasne włosy były wilgotne, skręcone, zlepione na czole. Trwając w bezruchu, patrzyła na mnie spokojnym, jakby zamyślonym wzrokiem. Emanowała spokojem. Jej koń potrząsnął łbem, zabrzączał uprzężą.
- Bóg z tobą, rycerzu - odezwała się, uprzedzając mnie. Głos też miała spokojny, opanowany. Taki, jakiego oczekiwałem.
- I z tobą, pani.
Miała regularnie owalną, miłą twarz, pełne usta o interesującym wykroju, nad prawą brwią znamię lub małą bliznę w kształcie odwróconego półksiężyca. Rozejrzałem się. Dookoła były wyłącznie wydmy. Ani śladu orszaku, wozu, pachołków. Była sama.
Jak ja.
Podażyła wzrokiem za moim spojrzeniem, uśmiechnęła się.
- Jestem sama - potwierdziła niezaprzeczalny fakt. - Czekałam tu na ciebie, rycerzu.
Aha. Czekala na mnie. Rzecz wyglądała interesująco, albowiem nie miałem pojęcia, kim jest. I nie spodziewałem się zastać na tej plaży nikogo, kto mógłby mnie oczekiwać. Tak mi się przynajmniej wydawało.
- A zatem - zwróciła ku mnie twarz, tchnącą spokojem i chłodem - ruszajmy, rycerzu. Jestem Branwen z Kornwalii.
Nie była z Kornwalii. I nie była Bretonką.
Są powody, dla których zdarza mi się nie pamiętać tego, co wydarzyło się w niedalekiej nawet przeszłości. Zdarzają mi się czarne luki w pamięci. I odwrotnie, zdarza mi się niekiedy pamiętać wydarzenia, co do których jestem prawie pewien, że nie miały miejsca. Dziwne rzeczy dzieją się czasami z moją głową. Czasami się myślę. Ale irlandzkiego akcentu, akcentu z Tary i wzgórz Temair, nie pomyliłbym z żadnym innym. Nigdy.
Mogłem jej to powiedzieć. Ale nie powiedziałem.
Skłoniłem hełm, pięścią w rękawicy dotknąłem kolczugi na piersi. Nie przedstawiłem się.

Miałem prawo nie przedstawiać się. Odwrócona tarcza przy moim kolanie była czytelnym i szanowanym sygnałem chęci utrzymania incognito. Obyczaj rycerski zaczynał już na dobre przybierać charakter powszechnie uznawanej normy. Nie był to wcale najzdrowszy objaw, zważywszy, że obyczaj rycerski stawał się coraz bardziej idiotyczny i niemożliwie dziwaczny.

- Jedźmy - powtórzyła.

Ruszyła koniem w dół, między kopczyki wydm, nastroszone trawami niby szczecina. Podążyłem za nią, dogoniłem, pojechaliśmy bok w bok. Chwilami nawet wysuwałem się do przodu - ktoś patrzący na nas mógłby pomyśleć, że to ja prowadzę. Nie przejmowałem się. Kierunek z grubsza biorąc, zdawał się być słuszny.

Bo za nami było morze.

Nie rozmawialiśmy. Branwen, chcąc uchodzić za Kornwalijkę, kilkakrotnie odwracała ku mnie twarz, sprawiając wrażenie, jakby chciała o coś zapytać. Ale nie spytała. Byłem wdzięczny. Czułem, że jestem sposobny do bardzo niewielu odpowiedzi. Milczałem również i myślałem - o ile można tak nazwać proces mozolnego układania w sensowny porządek wirujących w głowie obrazów i faktów.

Czułem się źle. Naprawdę źle.

Z zamyślenia wyrwał mnie zduszony krzyk Branwen i widok zębatego ostrza tuż przed moją pierś. Uniosłem głowę. Ostrze należało do rohatyny, trzymanej przez draba w rogatej błazeńskiej czapce i porwanej kolczudze. Drugi, z paskudną, ponurą gębą, trzymał konia Branwen za wodze przy munsztuku. Trzeci, stojący kilka kroków za nimi, mierzył do mnie z kuszy. Nie cierpię, kiedy mierzy się do mnie z kuszy. Gdybym był, zaraza, papieżem, to zakazałbym wyrobu kusz pod karą ekskomuniki.

- Spokojnie, rycerzu - powiedział ten, który trzymał kuszę, celując prosto w moje gardło. - Nie zabiję cię. Jeżeli nie będę musiał. Ale jeżeli dotkniesz miecza, będę musiał.

- Potrzebne jest nam żarcie, ciepłe odzienie i trochę grosza - oświadczył ten ponury. - Waszej krwi nie chcemy.

- Nie jesteśmy dzikusami - rzekł ten w śmiesznej czapce. - Jesteśmy solidni, fachowi zbójcy. Mamy swoje zasady.

- Pewnie odbieracie bogatym, oddajecie biednym? - spytałem.

Ten w śmiesznej czapce uśmiechnął się szeroko, aż po dziąsła. Miał czarne, lśniące włosy i śniadą twarz południowca, zjeżoną kilkadziesiąt centymetrów zarostem.

- Nasza solidność nie sięga aż tak daleko - powiedział. - Odbieramy wszystkim, jak leci. Ale że sami jesteśmy biedni, wychodzi na to samo. Hrabia Orgellis rozpuścił nas, rozwiązał drużynę. Do czasu, gdy zaciągniemy się do kogoś innego, musimy żyć, nie uważasz?

- Po co mu to mówisz, Bec de Corbin? - odezwał się ten ponury. - Po co mu się tłumaczysz? Przecież on kpi sobie z nas. Chce obrazić.

- Jestem ponad to - powiedział dumnie Bec de Corbin. - Puszczam mimo uszu. No, rycerzu, nie traćmy czasu. Odtroc zuki i rzuć je tu, na drogę. Obok niechaj spocznie twoja sakiewka. I płaszcz. Zauważ, nie żądamy ani konia, ani zbroi. Wiemy, gdzie jest granica.

- Niestety - rzekł ten ponury, paskudnie mrużąc oczy. - Musimy cię również prosić o tę panią. Na czas jakiś.

- Och, tak, byłbym zapomniaw - Bec de Corbin wyszczerzył znowu zęby. - Rzeczywiście, musimy mieć tę niewiastę. Sam rozumiesz, rycerzu, pustkowie, samotność... Już zapomniawem, jak wygląda naga kobieta.

- A ja nie mogę zapomnieć - powiedział kusznik. - Widzę to co noc, gdy tylko zamknę oczy. Zapewne musiałem się bezwiednie uśmiechnąć, bo Bec de Corbin gwałtownym ruchem zbliżył mi rohatynę do twarzy, a kusznik rzutem uniósł broń do policzka.

- Nie - powiedziała nagle Branwen. - Nie, nie trzeba.

Spojrzałem na nią. Błądła stopniowo, od dołu twarzy, od ust. Ale głos miała ciągle spokojny, zimny, opanowany.

- Nie trzeba - powtórzyła. - Nie chcę, abyś zginął z mojego powodu, rycerzu. Nie zależy mi też, by mnie dodatkowo posiniaczyli i zrujnowali odzienie. W końcu, cóż to takiego... Wiele nie żądają.

Nie zdziwiłem się bardziej niż rozbójnicy. Mogłem wszak domyśleć się wcześniej. To, co brałem za chłód, za spokój, za niewzruszone opanowanie, było po prostu rezygnacją. Znałem to.

- Rzuć im swoje tobołki - ciągnęła Branwen, blednąc jeszcze bardziej - i jedź. Proszę cię.

Kilka staj stąd jest krzyż na rozstaju. Zaczekasz tam na mnie. Myślę, że to długo nie potrwa.

- Niecodziennie trafiają się tak rozsądni ludzie - powiedział Bec de Corbin, opuszczając włócznię.

- Nie patrz tak na mnie - szepnęła Branwen. Niewątpliwie, coś musiało być w mojej twarzy, chociaż wydawało mi się, że nieźle nad sobą panuję.

Sięgnąłem za siebie, udając, że rozwiązuję rzemień juków, niepostrzeżenie wyjąłem prawą stopę ze strzemienia. Uderzyłem konia ostrogą i kopnąłem Beca de Corbin w twarz tak, że poleciał do tyłu, balansując rohatyną jak linoskoczek na linie. Wyciągając miecz, schyliłem głowę, a wycelowany w moje gardło bełt huknął po czaszy hełmu, ześlizgnął się. Uderzyłem ponurego z góry, ładnym, klasycznym sinistrem, a skok konia ułatwił mi wyrwanie klingi z jego czaszki. Nie jest to wcale takie trudne, jeśli się wie, jak to zrobić.

Bec de Corbin, gdyby chciał, mógł zwać na wydmy. Nie chciał. Myślał, że zanim zdołam zawrócić konia, zdąży wbić mi rohatynę w plecy. Źle myślał.

Chlasnąłem go szeroko, po rękach, dzierżących drzewce, i jeszcze raz, przez brzuch.

Chciałem niżej, ale mi nie wyszło. Nikt nie jest doskonały.

Kusznik też nie należał do tchórzliwych, zamiast uciekać, napiął ponownie cięgiwę i spróbował wycelować. Wstrzymując konia, chwyciłem miecz w połowie klingi i rzuciłem.

Wyszło. Upadł tak ładnie, że nie musiałem zsiadać, by odzyskać broń.

Branwen, schyliwszy głowę na koński kark, płakała, dławiła się szlochem. Nie powiedziałem słowa, nie zrobiłem gestu. Niczego nie zrobiłem. Pojęcia nie mam, co należy zrobić, gdy kobieta płacze. Pewien bard, którego poznałem w Dinas Dinlleu, w Gwynedd, twierdził, że najlepszym sposobem jest wówczas rozplakać się samemu. Nie wiem, żartował czy mówił poważnie.

Wytarłem starannie klingę miecza. Wożę pod siodłem szmatkę, która służy mi do wycierania klingi w podobnych sytuacjach. Wycieranie klingi uspokaja ręce.

Bec de Corbin rzeził, jęczał i starał się umrzeć. Mogłem zsiąść i dobić go, ale nie czułem się najlepiej. Poza tym niespecjalnie mu współczułem. Życie jest okrutne. Mnie, jak pamiętałem, też nikt nie współczuł. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Zdjąłem hełm, koleczy kaptur i myckę. Zupełnie mokrą. Spocilem się, mówię wam, jak mysz w połogu. Czułem się parszywie. Powieki ciążyły mi, jakby były z ołowiu, a w ramionach i łokciach narastało bolesne drętwienie. Płacz Branwen słyszałem jak poprzez ścianę z drewnianych bali, porządnie ogaconą mchem. W głowie rozdzwonił się i rozkołatał tępy, falujący ból.

Skąd wziąłem się na tych wydmach? Skąd przybywam i dokąd zmierzam? Branwen...

Słyszałem gdzieś to imię. Ale nie mogłem... nie mogłem sobie przypomnieć...

Odrętwiałymi palcami dotknąłem zgrubienia na głowie, starej szramy, śladu po tamtym strasznym cięciu, które otworzyło mi czaszkę i wbiło w nią powyginane krawędzie rozłupanego hełmu.

Cóż w tym dziwnego, pomyślałem, że nosząc coś takiego mam czasami pustkę we łbie? Cóż dziwnego w tym, że czarny, otwierający się na mętną poświatę korytarz z moich snów zdaje się prowadzić mnie i na jawie?

Siąkaniem nosa i pokasływaniem Branwen dała mi znać, że już. Przemogłem suchość w gardle.

- Jedziemy? - spytałem, celowo oschle, twardo, by zamaskować słabość.
- Tak - odpowiedziała równie oschle. Otarła oczy wierzchem dłoni. - Rycerzu?
- Słucham cię, pani?
- Gardzisz mną, prawda?
- Nieprawda.

Gwałtownie odwróciła się, popędziła konia, drogą wśród wydm, w kierunku skał. Podążyłem za nią. Czuję się źle.
Czuję zapach jabłek.

* * *

Nie lubię zamkniętych bram, opuszczonych krat, podniesionych zwodzonych mostów. Nie lubię stać niczym dureń nad śmierdzącą fosą. Nienawidzę zrywać sobie gardła, odpowiadając knechtom, niezrozumiale krzyczącym z blanków i zza ambrazur, nie wiedząc, czy lżą mnie, kpią czy pytają o imię.

Nienawidzę podawać imienia, kiedy nie mam ochoty go podawać.

Dobrze się tedy złożyło, że brama była otwarta, krata podniesiona, a wsparci na halabardach i partyzanach knechci niespecjalnie gorliwi. Jeszcze lepiej się złożyło, gdy człowiek w aksamitach, pozdrowiwszy Branwen na podwórku zadowolił się kilkoma jej słowami i o nic mnie nie pytał. Grzecznie podał Branwen dłoń i przytrzymał strzemię, grzecznie odwrócił wzrok, gdy zsiadając pokazała spod spódnicy łydkę i kolano. Grzecznie dał znać, byśmy szli za nim.

Zamek był przeraźliwie pusty. Jak wymarły. Było zimno, a widok czarnych, wygaszonych kominków sprawiał, że robiło się jeszcze zimniej. Czekaliśmy, ja i Branwen, w wielkiej, zimnej sali, wśród skośnych smug światła, wpadającego przez ostrołukowe okna. Nie czekaliśmy długo. Skrzypnęły niskie drzwi.

Teraz, pomyślałem, a myśl rozbłysła mi pod czaszką jak biały, chłodny, oślepiający płomień ukazując na moment długą, nie kończącą się głębię czarnego korytarza. Teraz, pomyślałem. Teraz wejdzie ona.

Weszła. Ona.

Iseult.

Aż mną coś targnęło, gdy weszła, gdy zajaśniała bielą w ciemnym obramowaniu drzwi.

Wierście lub nie, na pierwszy rzut oka była nie do odróżnienia od tamtej, irlandzkiej Iseult, od mojej krewniaczki, od Złotowłosej Iseult z Atha Cliath, córki Diarmuida Mac Cearbhailla, króla Tary. Dopiero drugie spojrzenie ujawniało różnice - włosy odrobinę ciemniejsze i bez tendencji do zwijania się w loki. Oczy zielone, nie modre, bardziej okrągłe, pozbawione tamtego niepowtarzalnego, migdałowego kształtu. Usta inne w wyrazie. I ręce.

Ręce miała, w rzeczy samej, bardzo piękne. Myślę, że przywykła do komplementujących porównań do alabastru lub słoniowej kości, mnie jednak biel i gładkość tych rąk kojarzyły się z płonącymi w półmroku, rozjarzonymi do transparencji świecami w kaplicy Ynis Witrin w Glastonbury.

Branwen dygnęła głęboko. Ja przyklęknąłem, schyliwszy głowę, oburącz wyciągnąłem w jej stronę miecz w pochwie. Tak, jak kazał zwyczaj, oddawałem jej na usługi moją klingę. Cokolwiek by to miało oznaczać.

Odpowiedziała ukłonem, zbliżyła się, dotknęła miecza końcami smukłych palców. Mogłem już wstać. Ceremoniał zezwalał. Oddałem miecz temu w aksamitach, jak kazał zwyczaj.

- Witam na zamku Carhaing - powiedziała Iseult. - Pani...

- Jestem Branwen z Kornwalii. A to mój towarzysz...

No, ciekawe, pomyślałem.

- ...rycerz Morholt z Ulsteru.

Na Luga i Lira! Przypomniałem sobie. Branwen z Tary. A później Branwen z Tintagelu, oczywiście. Ona.

Iseult przypatrywała się nam w milczeniu. Wreszcie, złożwszy razem słynne, białe dłonie, z chrzęstem wyłamała palce.

- Przybywacie od niej? - spytała cicho. - Z Kornwalii? Jak się tu dostaliście? Codziennie wypatruję statku i wiem, że jeszcze nie przybił do naszych brzegów.

Branwen milczała. I ja, rzecz jasna, też nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Mówcie - rzekła Iseult. - Kiedy przyplynie tu statek, na który czekamy? Kto będzie na jego pokładzie? Jaki będzie kolor żagla, pod którym przybędzie tu korab z Tintagelu? Biały? Czy czarny?

Branwen nie odpowiedziała. Iseult o Białych Dłoniach kiwnęła głową, sugerując, że rozumie. Zazdrościłem jej tego.

- Tristan z Lionesse, mój mąż i pan - powiedziała - jest ciężko ranny. W walce przeciw hrabiemu Estultowi Orgellis i jego najemnikom przebito mu udo lancą. Rana jątrzy się... i nie chce goić...

Głos Iseult załamał się, piękne ręce zadygotały.

- Tristana trawi gorączka od wielu dni. Często majaczy, popada w omdlenia, nie poznaje nikogo. To ja czuwam przy jego łożu, pielęgnuję go, leczę, uśmierzam bóle. Jednakowoż, zapewne moja niezręczność i nieudolność spowodowały, że Tristan posłał mego brata do Tintagelu. Mąż mój uważa zapewne, że w Kornwalii łatwiej o dobrych medyków.

Milczeliśmy, Branwen i ja.

- Wciąż jednak nie ma wieści od mego brata, wciąż ani śladu po żaglu jego korabia - ciągnęła Iseult o Białych Dłoniach. - I oto nagle, zamiast tej, na którą czeka Tristan, zjawiasz się ty, Branwen. Co cię tu sprowadza? Ciebie, służkę i powiernicę Złotowłosej Królowej z Tintagelu? Czy przywiozłaś może magiczny eliksir?

Branwen pobladła. Poczulem nieoczekiwane ukłucie żalu. Bo w porównaniu z Iseult, smukłą, wysoką, zwiewną i dostojną, tajemniczą i wściekle piękną, Branwen wyglądała jak prosta irlandzka wieśniaczka, puciołowata, lniana, zgrzebna, okrągłutka w biodrach, z włosami wciąż nieporządnie poskręcanyimi od deszczu. Wierzcie lub nie, było mi jej żal.

- Już raz Tristan przyjął z twoich rąk magiczny napój, Branwen - kontynuowała Iseult. - Napój, który wciąż działa i zabija go powoli. Wtedy, na statku, Tristan przyjął z twoich rąk śmierć. Może więc teraz przybywasz, by dać mu życie? Zaprawdę, Branwen, jeśli tak jest, spiesz się. Czasu zostało mało. Bardzo mało.

Branwen nie drgnęła. Twarz miała nieruchomą jak lalka z wosku. Ich oczy, jej i Iseult, płonące ogniem i siłą, spotkały się, zwały. Wyczuwałem napięcie, trzeszczące jak skręcana lina. Wbrew moim oczekiwaniom to Iseult okazała się silniejsza.

- Pani Iseult - Branwen padła na kolana, pochyliła głowę - masz prawo mieć do mnie żal. Ale nie proszę cię o wybaczenie, bo nie przed tobą zawiniłam. Ciebie proszę wyłącznie o łaskę. Chcę go zobaczyć, piękna Iseult o Białych Dłoniach. Chcę zobaczyć Tristana.

Jej głos był cichy, miękki, spokojny. W oczach Iseult był już tylko smutek.

- Dobrze - powiedziała. - Zobaczysz go. Chociaż przysięgam sobie, że nie pozwolę, by dotykały go obce oczy i dłonie. Zwłaszcza jej dłonie. Dłonie Kornwalijki.

- Nie jest pewne, czy ona przyplynie tu z Tintagelu - szepnęła Branwen, wciąż na kolanach.

- Wstań, proszę - Iseult o Białych Dłoniach uniosła głowę, a w oczach jej zabłyśły wilgotne diamenty. - Nie jest pewne, powiadasz. A ja... Ja pobiegłabym boso przez śnieg, przez ciernie, przez rozżarzone węgle, gdyby... Gdyby tylko mnie wezwał. Ale on mnie nie wzywa, chociaż o tym wie. Wzywa tę, co do której nie ma tej pewności. Nasze życie, Branwen, nie ustaje w zadziwianiu nas ironią.

Branwen uniosła się z kolan. Jej oczy, widziałem to wyraźnie, też wypełniły się diamentami. Ech, niewiasty...

- Idź więc do niego, miła Branwen - rzekła gorzko Iseult. - Idź i zanieś mu to, co widzę w twoich oczach. Ale przygotuj się na najgorsze. Bo gdy uklęknie przy jego łożu, Tristan rzuci ci w twarz imię, które nie będzie twoim. Rzuci ci je w twarz jak obelgę. Idź. Słudzy wskażą ci drogę.

Zostałem z nią sam, gdy Branwen wyszła za pacholkiem. Nie liczyłem kapelana z błyszczącą tonsurą, schyłego nad ławą, mamroczącego pod nosem łacińskie dyrdymały. Nie zauważyłem go wcześniej. Czy był tu cały czas? Do diabła z nim. Nie przeszkadzał mi. Iseult, wciąż bezwiednie wyłamując palce białych dłoni, patrzyła na mnie badawczo. Szukałem w jej oczach wrogości i nienawiści. Bo przecież musiała wiedzieć. Gdy poślubia się żywą, chodzącą legendę, poznaje się tę legendę w najdrobniejszych szczegółach. A ja, zaraza, taki drobny nie byłem.

Patrzyła na mnie, a coś bardzo dziwnego było w jej spojrzeniu. Potem, zebrawszy powłóczytą suknię dookoła wąskich bioder, usiadła w rzeźbionym karle, zaciskając białe dłonie na poręczach.

- Usiądź tu, przy mnie - powiedziała - Morholcie z Ulsteru.

Usiadłem.

O moim pojedynku z Tristanem z Lionesse krąży mnóstwo nieprawdopodobnych, od początku do końca zełganych historii. W jednej nawet zrobiono ze mnie smoka, którego Tristan zwyciężył, zdobywając tym samym formalne prawo do Iseult o Złotych Włosach. Dobre, co? I romantyczne, i usprawiedliwiające. Czarnego smoka faktycznie nosiłem na tarczy, może to stąd. Bo przecież każdy wie, że w Irlandii smoków nie ma od czasów Cuchulainna.

Inna opowieść głosi, że walka miała miejsce w Kornwalii, zanim jeszcze Tristan poznał Iseult. To nieprawda. To wymysł minstrela. Jest faktem, że król Diarmuid posyłał mnie do Marka, do Tintagelu, byłem tam kilkakrotnie i rzeczywiście ostro żarłem się o haracz, należny Diarmuidowi od Kornwalijczyka, zaraza wie, z jakiego tytułu, nie interesowałem się polityką. Ale wówczas nigdy nie spotkałem Tristana.

Nie spotkałem go też wtedy, gdy po raz pierwszy był w Irlandii. Poznałem go dopiero podczas jego drugiej wizyty, kiedy to zjawił się, by prosić o Złotowłosą dla Kornwalii. Mark, syn Meichriona, kuzyn Wielkiego Artura, zapragnął uczynić z naszej Iseult panią Tintagelu. Dwór Diarmuida, jak zwykle przy podobnych okazjach, podzielił się na takich, co popierali tę koligację i na takich, co byli przeciw. Do tych ostatnich należałem ja. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, o co dokładnie szło, jak wspomniałem, nie miałem inklinacji ani do polityki, ani do intrygi. Było mi obojętne, za kogo wydadzą Iseult. Ale umiałem i lubiłem się bić.

Plan, na ile go pojmowałem, był prosty, w istocie nie zasługiwał na miano intrygi. Mieliśmy zerwać Markowe swaty, nie dopuścić do koligacji z Tintagelem. Czy był lepszy sposób niż ukatrupienie posła? Znalazłem okazję, zaczepiłem i obraziłem Tristana, a on mnie wyzwał. On mnie, rozumiecie. Nie odwrotnie.

Biliśmy się w Dun Laoghaire, na brzegu Zatoki. Myślałem, że prędko sobie z nim poradzę. Na pierwszy rzut oka dwukrotnie górowałem nad nim wagą i co najmniej dwukrotnie doświadczeniem. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Pomyłkę poznałem zaraz w pierwszym starciu, kiedy kopie poszły nam w drzazgi. Mało mi krzyże nie pękły, tak wbił mnie w oparcie siodła, mało brakowało, a zwaliłby mnie razem z koniem. Kiedy zawrócił i nie wołając o drugą kopię, dobył miecza, byłem uradowany - kopia ma to do siebie, że przy odrobinie szczęścia i dobrym wierzchowcu młodzik może rozwalić na miazgę nawet wprawno rycerza. Miecz - na dłuższą metę - jest sprawiedliwszy.

Pomacaliśmy się trochę po tarczach. Silny był jak byk, silniejszy niż przypuszczałem.

Walczył klasycznie - dexter, sinister, niebo-dół, raz po razie, bardzo szybko, i ta jego

szybkość nie pozwalała mi wykorzystać przewagi doświadczenia, narzucić mu mojego, mniej klasycznego stylu. Pomału zaczął mnie męczyć, więc przy pierwszej okazji rąbnąłem go nieuczciwie, w udo, pod dolny skraj tarczy, ozdobionej wspiętym lwem Lionesse.

Gdyby to było z ziemi, nie ustałby na nogach. Ale to było z konia. Nawet nie zwrócił uwagi, że krwawi jak wieprz, że bryzga ciemnym karminem na siodło, na kropierz, na piach. Ludzie, którzy tam byli, darli się jak opętani. Byłem pewien, że upływ krwi robi swoje, a ponieważ i ja byłem bliski granicy wyczerpania, natarłem ostro, niecierpliwie i nieostrożnie, by zakończyć. I to był mój błąd. Podświadomie trzymałem tarczę nisko, sądząc, że zechce odwdzięczyć mi się takim samym, wrednym, dolnym cięciem. Nagle coś rozbłysło mi w oczach i nie wiem, co było dalej.

Nie wiem. Nie wiem, co było potem, pomyślałem, patrząc na białe dłonie Iseult. Czy to możliwe? Czyżby był tylko tamten błysk, w Dun Laoghaire, ciemny korytarz, a zaraz potem szarobiałe wybrzeże i zamek Carhaing?

Czy to możliwe?

I natychmiast, jak gotowa odpowiedź, jak niezbity dowód, jak niepodważalny argument, przypląły obrazy, zjawyły się twarze, imiona, słowa, kolory, zapachy. Wszystko tam było, każdy, każdziuteński dzień. I te dni zimowe, krótkie, niejasne zza rybich pęcherzy w oknach, i te wiosenne, ciepłe, pachnące deszczem i parującą ziemią. Dni letnie, długie i gorące, żółte od słońca i od słoneczników. Dni jesienne, barwiące na tysiąc kolorów wzgórza pod Emain Macha. I wszystko, co zdarzyło się w te dni - marsze, walki, pochody, łowy, uczty, kobiety, znowu walki, znowu uczty i znowu kobiety. Ognie Beltaine i dymy Samhain. Wszystko. To, co wydarzyło się od tamtego momentu w Dun Laoghaire, po dzisiejszy zapapraną mżawką dzień na armorykańskim wybrzeżu.

To wszystko było. Miało miejsce. Zdarzyło się. Nie mogłem więc zrozumieć, dlaczego to wszystko wydawało mi się...

Nieważne.

Nieistotne.

Odetchnąłem ciężko. Zmęczyłem się tym wspomnieniem. Czułem się zmęczony, prawie tak, jak wówczas, podczas walki. Jak wówczas, czułem ból w karku, ciężar ramion. Szrama na głowie pulsowała, rwała rozwścieczonym bólem.

Iseult o Białych Dłoniach, od dłuższej chwili zapatrzona w okno, w spowity chmurami horyzont, powoli obróciła ku mnie twarz.

- Po co tu przybyłeś, Morholcie z Ulsteru?

Co miałem jej odpowiedzieć? Nie chciałem zdradzać się przed nią z czarną pustką w pamięci. Nie miało sensu opowiadanie jej o ciemnym, nie kończącym się korytarzu. Pozostawał, jak zwykle, rycerski obyczaj, powszechnie szanowana i uznawana norma. Wstałem.

- Jestem tu na twoje rozkazy, pani Iseult - powiedziałem, kłaniając się sztywno. Podpatrzyłem taki ukłon u Kaia, w Kamelocie, zawsze wydawał mi się godny, dystyngowany i wart naśladowania. - Przybyłem, by spełnić każdy twój rozkaz. Rozporządzaj moim życiem, pani Iseult.

- Obawiam się - powiedziała cicho, wyłamując palce. - że już na to za późno.

Widziałem łzę, wąską, lśniąca smużkę, sunącą w dół od kącika jej oka, zwalnającą bieg na skrzydełku nosa. Czułem zapach jabłek.

- Legenda się kończy, Morholcie.

* * *

Przy wieczerzy Iseult nie dotrzymała nam towarzystwa. Byliśmy sami, ja i Branwen, nie licząc kapelana z błyszczącą tonsurą. Ten nie przeszkadzał nam jednak. Wymruczawszy krótką modlitwę i przeżegnawszy stół, poświęcił się żarciu. Rychło przestałem go w ogóle zauważać. Tak, jak gdyby był tam cały czas. Zawsze.

- Branwen?

- Tak, Morholcie?

- Skąd wiedziałaś?

- Pamiętam cię z Irlandii, z dworu Diarmuida. Dobrze cię pamiętam. Nie, nie sędzę, żebyś ty pamiętał mnie. Nie zwracałeś wtedy na mnie uwagi, chociaż, dzisiaj mogę ci to wyznaczyć, starałam się, byś mnie dostrzegł. To zrozumiałe. Tam, gdzie była Iseult, nie zauważało się innych.

- Nie, Branwen. Pamiętam cię. Dzisiaj cię nie poznałem, bo...

- Tak, Morholcie?

- Wtedy, w Tarze... zawsze byłaś uśmiechnięta.

Milczenie.

- Branwen?

- Tak, Morholcie?

- Co z Tristanem?

- Źle. Rana jątrzy się, nie chce goić. Zaczyna się zgorzeć. To wygląda strasznie.

- Czy on...

- Dopóki wierzy, żyje. A on wierzy.

- W co?

- W nią.

Milczenie.

- Branwen...

- Tak, Morholcie.

- Czy Iseult Złotowłosa... Czy królowa... rzeczywiście przyplynie tu z Tintagelu?

- Nie wiem. Ale on wierzy.

Milczenie.

- Morholcie.

- Tak, Branwen.

- Powiedziałaś Tristanowi, że tu jesteś. Chce cię zobaczyć. Jutro.

- Dobrze.

Milczenie.

- Morholcie...

- Tak, Branwen.

- Tamto na wydmach...

- To nie miało znaczenia.

- Miało. Proszę cię, postaraj się zrozumieć. Nie chciałam, nie mogłam pozwolić, byś zginął. Nie mogłam dopuścić, by bełt z kuszy, głupi kawałek drewna i metalu, pokrzyżował... Nie mogłam do tego dopuścić. Za żadną cenę, nawet za cenę twojej wzdargy. A tam... na wydmach... Cena, której oni żądali, nie wydała mi się wygórowana. Widzisz, Morholcie...

- Branwen... Dostyc, proszę. Wystarczy.

- Już mi się zdarzało płacić sobą.

- Branwen. Ani słowa więcej.

Dotknęła mojej ręki, a jej dotknięcie, wierzcie lub nie, było czerwoną kulą słońca, wschodzącego po długiej i zimnej nocy, zapachem jabłek, skokiem konia, idącego do szarzy. Spojrzała mi w oczy, a jej spojrzenie było jak łopot szarpanych wiatrem proporców, jak muzyka, jak dotyk futra na policzku. Branwen, roześmiana Branwen z Tary. Poważna, spokojna i smutna Branwen z Kornwalii, o oczach, które wiedzą. Czy w winie, które piliśmy,

było coś? Tak jak w tym, które Tristan i Złotowłosa wypili na morzu?

- Branwen...

- Tak, Morholcie?

- Nic. Chciałem tylko usłyszeć dźwięk twego imienia.

Milczenie.

Szum morza, jednostajny i głuchy, w nim szepty, natrętne, powtarzające się, niezdolnie uparte.

Milczenie.

* * *

- Morholt.

- Tristan.

Zmienił się. Wtedy, w Atha Cliath, to był dzieciak, wesoły chłopak o rozmarzonych oczach, zawsze, nieodmiennie z tym samym milusim uśmiechem, wywołującym u panien skurcze podbrzusza. Zawsze ten uśmiezek, nawet wtedy, gdy siekliśmy się mieczami w Dun Laoghaire. A teraz... Teraz twarz miał szarą, wychudłą, skurczoną, pociętą błyszczącymi strużkami potu, usta spękane i wygięte w bolesną podkowę, oczodoły szerniały od męki. I śmierdział. Śmierdział chorobą. Śmiercią. Strachem.

- Żyjesz, Irlandczyku.

- Żyję, Tristanie.

- Kiedy znosili cię z pola, mówili, żeś martwy. Miałeś...

- Miałem rozrąbaną głowę i mózg na wierzchu - powiedziałem, starając się, by zabrzmiało to naturalnie i obojętnie.

- Cud. Ktoś modlił się za ciebie, Morholcie.

- Raczej nie - wzruszyłem ramionami.

- Niezbadane są wyroki losu - zmarszczył czoło. - Ty i Branwen... Żyjecie oboje. A ja... W głupiej potyczce... Dostałem kopią w pachwinę, przeszła na wylot, złamała się. Chyba coś odkruszyło się z drzewca, dlatego rana tak się paprze. To kara boża. Kara za wszystkie moje winy. Za ciebie, za Branwen. A nade wszystko... za Iseult...

Znowu się zmarszczył, skrzywił usta. Wiedziałem, którą Iseult miał na myśli. Zrobiło mi się nagle bardzo przykro. W tym jego grymasie było wszystko. Jej podkrążone oczy, jej bezwiedne załamania rąk, wyłamywane palce białych dłoni. Gorycz w głosie. Jakże często, pomyślałem, musiała to widzieć. To nagle, mimowolne skrzywienie ust, gdy mówił: "Iseult", a nie mógł dodać: "Złotowłosa". Było mi jej żal, jej, zaślubionej z żywą legendą. Dlaczego zgodziła się na to małżeństwo? Ona, córka Hoela z Armoryki, mogła mieć przecież każdego, kogo by tylko zapragnęła. Dlaczego zgodziła się na Tristana? Dlaczego zgodziła się służyć jako imię, jako pusty dźwięk? Czy nie słyszała opowieści o nim i o Kornwalijce? A może zdawało jej się, że to bez znaczenia? Może myślała, że Tristan jest taki sam jak inni, jak chłopaki z drużyny Artura, jak Gawain, Gaheris, Lamorak czy Bedivere, którzy zapoczątkowali tę idiotyczną modę, by wielbić jedną, chędożyć drugą, a zenić się z trzecią, i wszystko było dobrze, nikt się nie skarżył?

- Morholcie...

- Jestem tu, Tristanie.

- Posłałem Caherdina do Tintagelu. Statek...

- Wciąż nie ma wieści.

- Tylko ona... - szepnął. - Tylko ona może mnie uratować. Jestem na krawędzi. Jej oczy, jej ręce, sam jej widok i dźwięk jej głosu. Innego ratunku dla mnie już nie ma. Dlatego... jeśli

będzie na pokładzie, Caherdin ma wciągnąć na maszt...

- Wiem.

Milczał, patrząc w powagę, oddychał ciężko.

- Morholcie... Czy ona... przybędzie? Czy pamięta?

- Nie wiem, Tristanie - powiedziałem i natychmiast pożałowałem tych słów. Do diabła, co mi szkodziło gorąco i z przekonaniem potwierdzić? Czy musiałem i przed nim demaskować się ze swoją niewiedzą?

Tristan obrócił głowę ku ścianie.

- Zmarnowałem tę miłość - jęknął. - Zniszczyłem ją. Przez to ściągnąłem klątwę na nasze głowy. Przez to umieram, nie mogąc nawet umrzeć w przekonaniu, że Iseult przybędzie tu na moje wołanie. Chociażby za późno, ale przybędzie.

- Nie mów tak, Tristanie.

- Muszę. To wszystko moja wina. A może winien jest mój przeklęty los? Może od początku byłem na to skazany? Ja, poczęty z miłości i tragedii? Wiesz, że Blanchefleur porodziła mnie w rozpacz, bóle chwyciły ją, gdy przyniesiono wieść o śmierci Rivalina. Nie przeżyła porodu. Nie wiem, czy to ona, w ostatnim tchnieniu, czy to później Foytenant... Kto nadał mi to imię, imię, które jest jak zguba, jak przekleństwo... Jak wyrok. La tristesse. Przyczyna i skutek. La tristesse, otaczająca mnie jak mgła... Mgła, taka, jaka spowiła ujście Liffey, gdy... Zamilkł, bezwiednie wodził dłońmi po okrywających go futrach.

- Wszystko, wszystko, co robiłem, obracało się przeciw mnie. Postaw się na moim miejscu, Morholcie. Wyobraź sobie, przybywasz do Irlandii, tam spotykasz dziewczynę... Od pierwszego spojrzenia, od pierwszego zetknięcia się oczu czujesz, że serce chce pokruszyć ci żebra, a ręce drżą. Całą noc chodzisz, nie kładąc się do łóżka, gotujesz się z niepokoju, dygoczesz, myślisz tylko o jednym - żeby nazajutrz znowu ją zobaczyć. I co? Zamiast radości - la tristesse...

Milczałem. Nie rozumiałem, o czym mówi.

- A potem - ciągnął - pierwsza rozmowa. Pierwsze zetknięcie się rąk, które wstrząsa tobą niby uderzenie kopii na turnieju. Pierwszy uśmiech, jej uśmiech, który sprawia, że... Ech, Morholcie. Co byś zrobił, będąc na moim miejscu?

Milczałem. Nie wiedziałem, co bym zrobił, będąc na jego miejscu. Bo nigdy nie byłem na jego miejscu. Bo, na Luga i Lira, nigdy nie przeżyłem czegoś takiego. Nigdy.

- Wiem, czego byś nie zrobił - rzekł Tristan, przymykając oczy. - Nie nastroczyłbyś jej Markowi, nie wzbudził jego zainteresowania, papląc o niej bezustannie w jego obecności. Nie popłynąłbyś po nią do Irlandii w cudzym imieniu. Nie zmarnowałbyś miłości, która się wtedy zaczęła. Wtedy, nie na statku. Branwen niesłusznie zdręcza się tą historią z magicznym napojem. Napój nie miał tutaj nic do rzeczy. Gdy wsiadała na statek, była już moja.

Morholcie... Gdybyś to ty wsiadał z nią na ten statek, czy pożegłowałbyś do Tintagelu?

Oddałbyś Iseult Markowi? Na pewno nie. Uciekłbyś z nią raczej na koniec świata, do Bretanii, Arabii, do Hyperborei, do samej Ultima Thule. Morholcie? Mam rację?

Nie mogłem odpowiedzieć na to pytanie. A gdybym mógł, nie chciałbym.

- Jesteś wycieńczony, Tristanie. Potrzeba ci snu. Wypoczywaj.

- Wypatrujcie... statku...

- Dobrze, Tristanie. Potrzeba ci czegoś? Przysłać ci... panią o Białych Dłoniach?

Skrzywienie ust.

- Nie.

* * *

Stoimy na murach, ja i Branwen. Mży, jak to w Bretanii. Wiatr wzmaga się, szarpie włosy Branwen, oblepia suknią jej biodra. Wiatr w porywach dławi nam słowa na wargach. Wyciska łzy z oczu, wpatrzonych w horyzont.

Ani śladu żagla.

Patrzę na Branwen. Na Luga, jaką radość sprawia mi patrzenie na nią. Mógłbym na nią patrzeć bez końca. I pomyśleć tylko, że wówczas, gdy stała naprzeciw Iseult, wydawała mi się nieładna. Musiałem mieć chyba bielmo na oczach.

- Branwen?

- Słucham cię, Morholcie.

- Czekaaś na mnie na plaży. Wiedziaaaś, że...

- Tak.

- Skąd?

- Nie wiesz?

- Nie. Nie wiem... nie pamiętam... Branwen, dość zagadek. To nie na moją głowę. Nie na moją rozbitą głowę.

- Legenda nie może zakończyć się bez nas. Bez naszego udziału. Twojego i mojego. Nie wiem, dlaczego, ale jesteśmy ważni, niezbędni w tej historii. W historii o wielkiej miłości, która jest wirem, wciągającym wszystko i wszystkich. Czy nie wiesz o tym, Morholcie z Ulsteru, czy nie rozumiesz, jak potężną siłą jest uczucie? Siłą zdolną odwrócić naturalny porządek rzeczy? Czy tego nie czujesz?

- Branwen... Nie rozumiem. Tu, na zamku Carhaing...

- Coś się wydarzy. Coś, co zależy tylko od nas. I dlatego tu jesteśmy. Musimy tu być, niezależnie od naszej woli. Dlatego wiedziałam, że pojawisz się na plaży. Dlatego nie mogłam pozwolić, byś zginął na wydmach...

Nie wiem, co mnie do tego popchnęło. Może jej słowa, może nagle wspomnienie oczu Złotowłosej. Może coś, o czym zapomniałem, idąc długim, nie kończącym się, ciemnym korytarzem. Ale zrobiłem to bez namysłu, bez wyrachowania.

Wziąłem ją w ramiona.

Przyłgnęła do mnie, ulegle i chętnie, a ja pomyślałem, że w samej rzeczy, uczucie może być potężną siłą. Ale równą moc ma jego długi, dotkliwy i przemożny brak.

Trwało to chwilę. Tak mi się przynajmniej wydawało. Branwen powoli uwolniła się z mego uścisku, odwróciła się, poryw wiatru zatargał jej włosami.

- Coś od nas zależy, Morholcie. Od ciebie i ode mnie. Boję się.

- Czego?

- Morza. I łodzi, która nie ma steru.

- Jestem przy tobie, Branwen.

- Bądź, Morholcie.

* * *

Dzisiaj jest inny wieczór. Zupełnie inny. Nie wiem, gdzie jest Branwen. Być może czuwa razem z Iseult u łoża Tristana, który znowu jest nieprzytomny i rzuca się w gorączce.

Rzucając się, szepcze: "Iseult..." Iseult o Białych Dłoniach wie, że to nie ją przyzywa Tristan, ale drży, gdy słyszy to imię. I wyłamuje palce białych dłoni. Branwen, jeśli jest tam z nią, ma w oczach mokre diamenty. Branwen... Szkoda, że... Ech, zaraza!

A ja... Ja piję z kapelanem. Nie wiem, skąd wziął się tu ten kapelan. Może był zawsze?

Pijemy, i to pijemy szybko. I dużo. Wiem, że to mi szkodzi. Nie powinienem, moja rozwalona głowa niezbyt dobrze to znosi. Gdy się opiję, miewam halucynacje. Bóle głowy. Czasami

mdleję. Na szczęście rzadko.

Ale cóż, pijemy. Muszę, zaraza, stłumić w sobie niepokój. Zapomnieć o drzeniu rąk. O zamku Carhaing. O oczach Branwen, pełnych lęku przed niewiadomym. Chcę zagłuszyć w sobie wycie wichru, szum fal, kołysanie pokładu łodzi pod stopami. Chcę zagłuszyć w sobie to, czego nie pamiętam. I ten zapach jabłek, który mnie prześladowuje.

Pijemy, kapelan i ja. Dzieli nas dębowy stół, mocno już zachlapany winem. Dzieli nas nie tylko stół.

- Pij, klecho.

- Bóg z tobą, synu.

- Nie jestem twoim synem.

Jak wielu innych, od czasu bitwy pod Badon noszę na zbroi krzyż, ale nie zawładnął mną mistycyzm, co przydarzyło się wielu innym. Wobec religii jestem raczej obojętny. Wobec wszelkich jej przejawów. Krzak, który w Glastonbury posadził jakoby Józef z Arymatei, nie różni się dla mnie od innych krzaków - może tylko tym, że jest bardziej koślawy i oblaży niż inne. Samo opactwo, o którym niektóre chłopaki Artura mówią w nabożnym skupieniu, we mnie głębszych wzruszeń nie budzi, chociaż przyznaję, że ładnie komponuje się z lasem, wzgórzem i jeziorem. A to, że regularnie biją tam we dzwony, ułatwia znalezienie drogi we mgle, a mglisto tam zawsze tak, że niech to zaraza.

Ta rzymska religia, chociaż już nieźle rozpanoszona, niewielkie ma szanse u nas, na wyspach. U nas, w Irlandii, Kornwalii czy Walii, na każdym kroku spotyka się rzeczy, których istnieniu mnisi uparcie zaprzeczają. Byle głupek widział u nas elfy, puki, sylfy, korrigany, leprekauny, sidhe, ba, nawet bean sidhe. A nikt, o ile mi wiadomo, nie widział anioła. Nie licząc Borsy z Ganisu, który jakoby widział samego Gabriela, kiedyś, przed jakąś walką czy w czasie walki, ale Bors jest bałwan i łgarz, kto by mu tam wierzył.

Mnisi rozpowiadają o cudach, jakie jakoby czynił Chrystus. Bądźmy uczciwi - przy tym, co potrafiła Vivien z Jeziora, Morgan od Wrózek albo Morgause, żona Lota z Orkadów, nie wspominając o Merlinie, Chrystus nie ma się czym chwalić. Poważna fachowa magia, powiadam wam, to jest coś. Czarodziej albo druid wzbudzają szacunek i respekt. Merlin, możecie mi wierzyć, nigdy nie zniżyłby się do popisywania bezsensownym chodzeniem po wodzie. Jeśli to w ogóle prawda z tym chodzeniem po wodzie. Zbyt wiele razy przyłapałem mnichów na kłamstwie, by wierzyć we wszystko, co opowiadają. Myślicie może, że nie lubię mnichów? To nie do końca tak. Lubienie nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu nie rozumiemy się nawzajem. Oni mówią: "Pentekost", ja myślę: "Beltaine". Oni mówią: "Święta Brygida", ja myślę: "Birgit z Kill Dara". Nie rozumiemy się. I nie musimy się rozumieć. Bo mnisi przyszli i odejdą. A druidzi pozostaną. Nie to, żebym akurat uważał, że druidzi są wiele lepsi od mnichów, nie. Ale druidzi są nasi. Byli zawsze. A mnisi to przybłędy. Tak jak ten mój klecha, mój dzisiejszy kompan przy stole. Jeden diabeł wie, skąd przywiało go tu, do Armoryki. Używa dziwnych słów i ma dziwny akcent, akwitański jakby lub galicki. Zaraza z nim.

- Pij, klecho.

A u nas, w Irlandii, to głowę sobie dam uciąć, że chrześcijaństwo będzie sprawą przelotną. My, Irlandczycy, jesteśmy mało podatni na ten ich rzymski, nieustępliwy i zawzięty fanatyzm, jesteśmy na to za trzeźwi, za prostoduszni. Nasza Wyspa to forpoczta Zachodu, to Ostatni Brzeg. Za nami, już blisko, leżą Stare Kraje - Hy Brasil, Ys, Emain Ablach, Mainistir Leitreach, Beag-Arainn. To one, jak przed wiekami, tak i dziś rządzą umysłami ludzi, nie krzyż, nie łaćńska liturgia. A zresztą my, Irlandczycy, jesteśmy tolerancyjni. Niech każdy wierzy sobie, w co chce. Po świecie, jakem słyszał, różne odłamy chrześcijan już zaczynają brać się za łby. U nas to jest niemożliwe. Wszystko mogę sobie wyobrazić, ale nie to, żeby taki Ulster, dla przykładu, stał się widownią zamieszek na tle religijnym.

- Pij, klecho.

Pij, bo kto wie, czy jutro nie będziesz miał pracowitego dnia. Może już jutro będziesz musiał odpracować to, co tu wyzarłeś i wychlałeś. Bo ten, który ma odejść, musi odejść z paradą, w chwale rytuału. Lżej umierać, gdy obok ktoś odprawia rytuał, wszystko jedno, czy ten ktoś klepie Requiem Aeternam, smrodzi kadzidłami, wyje czy wali mieczem o tarczę. Łatwiej się wówczas odchodzi. I co to, do diabła, za różnica, dokąd się odchodzi, do raju, do piekła czy też do Tir Nan Og. Odchodzi się zawsze w ciemność. Wiem coś o tym. Odchodzi się w ciemny korytarz, który nie ma końca.

- Twój pan umiera, klecho.

- Sir Tristan? Modłę się za niego.

- Modlisz się o cud?

- Wszystko w ręku Boga.

- Nie wszystko.

- Błóżniesz, synu.

- Nie jestem twoim synem. Jestem synem Flanna Cernacha Mac Cathaira, którego Duńczycy zarabali w bitwie na brzegach rzeki Shannon. To była, klecho, śmierć godna mężczyzny. Flann umierając, nie jęczał: "Iseult, Iseult". Flann, umierając, roześmiał się i nazwał jarla wikingów takimi słowami, że ten przez bite trzy pacierze nie mógł zamknąć gęby, otwartej z podziwu.

- Umierać, synu, winno się z imieniem Pana na ustach. Poza tym lżej jest ginąć w boju, od miecza niż dogorywać w łożu, trawiony przez la maladie. Walka z la maladie to walka samotna. Ciężko jest walczyć samotnie, a jeszcze ciężiej jest samotnie umierać.

- La maladie? Pleciesz, klecho. Wylizałby się z tej rany równie śpiewająco jak z tamtej, którą... Ale wtedy, w Irlandii, był pełen życia, pełen nadziei, a teraz nadzieja wycieka z niego razem z chorą, cuchnącą krwią. Do diabła, gdyby mógł przestać o niej myśleć, gdyby zapomniał o tej przeklętej miłości...

- Miłość, synu, też pochodzi od Boga.

- Akurat. Wszyscy tu gadają o miłości i dziwiają się, skąd się takowa bierze. Tristan i Iseult... Powiedzieć ci, klecho, skąd się wzięła ich miłość, czy jak to tam zwać? Powiedzieć ci, co ich połączyło? To byłem ja, Morholt. Zanim Tristan rozłupał mi łeb, dziabnąłem go w udo i przykułem na parę tygodni do łoża. A on, ledwie krzyknę wydobrzał, wciągnął do tego łoża Złotowłosą. Każdy zdrowy chłop tak by zrobił, gdyby miał okazję i czas. A potem minstrele śpiewali o Moreńskim Lesie i o nagim mieczu. Gówno prawda, nie wierzę. Widzisz sam, mnichu, skąd pochodzi miłość. Nie od Boga, ale od Morholta. I dlatego tyle ona warta, ta miłość. Ta twoja la maladie.

- Błóżniesz. Mówisz o sprawach, których nie rozumiesz. Lepiej więc byłoby, gdybyś przestał o nich mówić.

Nie dzieliłem go między oczy cynowym kubkiem, który usiłowałem zgnieść w dłoni.

Dziwicie się dlaczego? Powiem wam. Bo miał rację. Nie rozumiałem.

Jak mogłem rozumieć? Nie byłem poczęty w nieszczęściu, zrodzony w tragedii. Flann i moja matka poczęli mnie na sianie i zapewne mieli z tego poczynania kupę prostej, zdrowej radości. Nadając mi imię, nie wkładali w nie żadnego ukrytego znaczenia. Nazwali mnie tak, by było łatwo mnie wołać. "Morholt, wieczerza!" "Morholt, ty psie nasienie!" "Przynieś wody, Morholt!" La tristesse? Gówno, a nie la tristesse.

Czy nosząc takie imię można marzyć? Grać na harfie? Poświęcać ukochanej wszystkie myśli, wszystkie codzienne sprawy, a nocą chodzić po komnacie, nie mogąc zasnąć? Gówno. Nosząc takie imię, można chlać piwo i wino, a potem rzygać pod stół. Rozbijać nosy pięścią.

Rozwalać łby mieczem lub toporem, względnie samemu brać po łbie. Miłość? Ktoś, kto nazywa się Morholt zadziera kieckę i chędoży, a potem zasypia lub też, jeśli przypadkowo gra mu coś w duszy, mówi: "Uch, ależ z ciebie na schwał dziewucha, Maire O'Connell, całą bym cię zeżarł chętnie, a zwłaszcza te twoje cycki". Szukajcie trzy dni i trzy noce, nie znajdziecie

w tym śladu la tristesse. Nawet śladu. I co z tego, że lubię patrzeć na Branwen? Na wiele rzeczy lubię patrzeć.

- Pij, klecho. I nalewaj, szkoda czasu. Co tam mamrociesz?

- Wszystko w ręku Boga, sicut in caelo et in terra, amen.

- Może wszystko in caelo, ale na pewno nie wszystko in terra.

- Błóżniesz, synu. Cave!

- Czym chcesz mnie nastraszyć? Gromem z jasnego nieba?

- Nie straszę cię. Boję się o ciebie. Odrzucając Boga, odrzucasz nadzieję. Nadzieję na to, że nie utracisz tego, co zdobędziesz. Nadzieję na to, że gdy przyjdzie dokonać wyboru, dokonasz dobrze, że podejmiesz właściwą decyzję. I że nie będziesz wówczas bezbronny.

- Życie, klecho, z Bogiem, czy bez niego, z nadzieją, czy bez niej, to droga bez końca i początku, droga, która wiedzie po śliskiej krawędzi olbrzymiego, blaszanego lejka.

Większość ludzi nie zauważa, że chodzą w kółko, niezliczoną liczbę razy mijają ten sam punkt na śliskim, wąskim brzegu. Ale są tacy, którym przydarza się osunąć. Spaść. I wówczas koniec z nimi, nigdy już nie wrócą na krawędź, nie podejmą marszu. Suną w dół, do chwili, gdy wszyscy spotkają się w wylocie lejka, w najważniejszym miejscu. Spotkają się, ale tylko na krótką chwilę, bo dalej, pod lejkiem, czeka na nich otchłań. I ten zamek, na skale tłuczonych falami, jest właśnie takim miejscem. Wylotem lejka. Pojmujesz to, klecho?

- Nie. Nie sądzę jednak żebyś ty z kolei pojmuwał przyczynę, dla której tego nie pojmuję.

- Do diabła z przyczynami, jako i skutkami, sicut in caelo et in terra. Pij, mnichu.

Piliśmy do późnej nocy. Kapelan zniósł to nad podziw dobrze. Ze mną było gorzej. Urznąłem się, mówię wam, w okropny sposób. Zagłuszyłem w sobie... wszystko.

Tak mi się przynajmniej wydawało.

* * *

Dzisiaj morze ma kolor ołowiu. Dzisiaj morze jest gniewne. Czuję jego gniew i mam przed nim respekt. Rozumiem Branwen, rozumiem jej strach. Nie rozumiem przyczyn. I jej słów. Dzisiaj zamek jest pusty i przerażająco cichy. Tristana trawi gorączka. Iseult i Branwen są przy nim. Ja, Morholt z Ulsteru, stoję na murach i patrzę na morze.

Nie ma nawet śladu żagla.

* * *

Nie spałem, gdy weszła. I nie byłem zaskoczony. Było tak, jak gdybym tego oczekiwał. To dziwne spotkanie na plaży, podróż przez wydmy i słone łąki, głupi incydent z Bekiem de Corbin i jego koleżkami, ten wieczór przy świecach, ciepło jej ciała, gdy obejmowałem ją na murach, a nade wszystko ta aura miłości i śmierci, wypełniająca Carhaing - wszystko to zbliżyło nas do siebie, związało. Zacząłem już łapać się na myślach, że trudno mi będzie rozstać się...

Z Branwen.

Nie powiedziała ani słowa. Rozpięła broszę spinającą opończę na ramieniu, opuściła na posadzkę ciężką tkaninę. Szybko zdjęła koszulę, prostą, nieledwie zgrzebną, taką, jakie noszą na co dzień irlandzkie dziewczęta. Odwróciła się bokiem, zaczerwieniona ogniem, pełgającym po polanach w kominie, śledzącym za nią czerwonymi ślepiami żaru.

Również nie mówiąc ni słowa, posunąłem się, robiąc jej miejsce obok siebie. Położyła się powoli, odwracając twarz. Nakryłem ją futrami. Nadal milczeliśmy obojwoje, leżąc

nieruchomo i patrząc na cienie biegające po powale.

- Nie mogłam zasnąć - powiedziała. - Morze...

- Wiem. Ja też je słyszę.

- Boję się, Morholcie.

- Jestem przy tobie.

- Bądź.

Objąłem ją najczulej, najdelikatniej jak umiałem. Otoczyła mi szyję ramionami, przycisnęła twarz do policzka, rażąc gorącym oddechem. Dotykałem jej ostrożnie, walcząc z radosnym pragnieniem mocnego uścisku, chęcią gwałtownej, pożądliwej pieśczoły, tak, jak gdybym dotykał piór sokoła, chrap płochliwego konia. Dotykałem jej włosów, szyi, ramion, jej pełnych, cudownie kształtnych piersi o maleńkich sutkach. Dotykałem jej bioder, które jeszcze niedawno, pomyśleć tylko, uważałem za zbyt okrągłe, a które były wspaniale okrągłe. Dotykałem jej gładkich ud, dotykałem jej kobiecości, miejsca nie nazwanego, bo nawet w myśli nie ośmieliłbym się nazwać go u niej tak, jak przywykłem, żadnym z irlandzkich, walijskich czy saksońskich słów. Bo byłoby to tak, jak gdyby Stonehenge nazwać kupą kamieni. Tak, jak gdyby Glastonbury Tor nazwać pagórkiem.

Drżała, niecierpliwie wychodząc naprzeciw moim dłoniom, kierując nimi ruchami ciała.

Domagała się, żądała niemyim językiem, gwałtownym, rwącym się oddechem. Prosiła chwilową uległością, miękką i ciepłą, by za moment wyprężyć się, stwardnieć w dygocący diament.

- Kochaj mnie, Morholcie - szepnęła. - Kochaj mnie.

Była odważna, zachłanna, niecierpliwa. Ale bezbronna i bezsilna w moich ramionach, musiała poddać się mojej spokojnej, ostrożnej, powściągliwej miłości. Mojej. Takiej, jakiej pragnąłem. Takiej, jakiej pragnąłem dla niej. Bo w tej, którą próbowała mi narzucić, wyczuwałem strach, poświęcenie i rezygnację, a nie chciałem, by się bała, by poświęcała dla mnie cokolwiek, by rezygnowała z czegokolwiek. I postawiłem na swoim.

Tak mi się przynajmniej wydawało.

Czułem, jak zamek drży w wolnym rytmie uderzających o skałę fal.

- Branwen...

Przywarła do mnie, gorąca, a jej pot miał zapach mokrych piór.

- Morholcie... Dobrze jest...

- Co, Branwen?

- Dobrze jest żyć.

Milczeliśmy długo. A potem zadałem pytanie. To, którego nie powinienem był zadawać.

- Branwen... Czy ona... Czy Iseult przepłynie tu z Tintagelu?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Ty? Jej powiernica? Ty, która...

Zamilkłem. Na Luga, cóż ze mnie za kretyń, pomyślałem. Cóż za zapowietrzony bałwan.

- Nie dręcz się - powiedziała. - Zapytaj mnie o to.

- O co?

- O noc poślubną Iseult i króla Marka.

- Ach, o to. Wyobraź sobie, że mnie to nie ciekawi.

- Myślę, że kłamiesz.

Nie odpowiedziałem. Miała rację.

- Było tak, jak opowiadają ballady - powiedziała cicho. - Sprytnie wymieniliśmy się z Iseult w łóżu Marka, gdy tylko zgasły świece. Nie wiem, czy było to naprawdę potrzebne. Mark był tak oczarowany Złotowłosą, że zaakceptowałby bez wyrzutów jej brak dziewictwa. Nie był aż tak drobiazgowy. No, ale stało się, jak się stało. Zdecydowały moje wyrzuty sumienia za to, co wydarzyło się na korabiu. Sądziłam, że to ja jestem wszystkiemu winna, ja i ten napój, który im podałam. Wmówiłam sobie winę i chciałam ją spłacić. Dopiero później wyszło na

jaw, że Iseult i Tristan sypiali ze sobą jeszcze w Atha Cliath. Że niczemu nie byłam winna.

- Już dobrze, Branwen. Niepotrzebne są szczegóły.

- Nie. Wysłuchaj do końca. Wysłuchaj tego, o czym ballady milczą. Iseult rozkazała mi, bym natychmiast, gdy już złożę dowody dziewictwa, wymknęła się z łoża i po raz wtóry zamieniła się z nią miejscami. Może bała się zdemaskowania, może po prostu nie chciała, bym zbyt przyzwyczała się do króla, kto wie. Była z Tristanem w komnacie obok, oboje bardzo sobą zajęci. Wyswobodziła się z jego ramion i poszła do Kornwalijczyka, naga, jak stała, nawet nie poprawiwszy włosów. A ja zostałam naga... z Tristanem. Do samego rana. Sama nie wiem, jak i dlaczego.

Milczałam.

- To nie koniec - powiedziała, odwracając głowę w stronę ognia w kominie. - Potem były miesiące miodowe, podczas których Kornwalijczyk na krok nie oddalał się od Iseult. Siłą rzeczy, Tristan nie mógł zbliżyć się do niej. Ale do mnie mógł. Nie wdając się w szczegóły: po tych kilku miesiącach kochałam go. Na śmierć i życie. Wiem, że się dziwisz. Tak, prawda, łączyło nas wyłącznie łożo, w którym zresztą Tristan, co było oczywiste dla mnie nawet wtedy, próbował zagłuszyć w sobie miłość do Iseult, zazdrość o Marka, poczucie winy. Mnie traktował instrumentalnie. To, że o tym wiedziałam, wcale mi nie pomagało.

- Branwen...

- Cierpliwości. To jeszcze nie koniec. Miesiące miodowe minęły, Mark odnowił zwykłe, królewskie zajęcia, a Iseult zaczęła mieć mnóstwo okazji. A Tristan... Tristan przestał mnie w ogóle zauważać. Mało tego, zaczął unikać. A ja szalałam z miłości.

Zamilkła, odszukała wśród futer moją rękę, zacisnęła na niej palce.

- Podjęłam kilka prób, aby o nim zapomnieć - powiedziała, patrząc w powalę nieruchomym wzrokiem. - W Tintagelu było pełno młodych i nieskomplikowanych rycerzy. Nic z tego nie wyszło. Któregoś ranka wypłynęłam więc łodzią w morze. Gdy byłam już dość daleko od brzegu, wyskoczyłam.

- Branwen - powiedziałem, obejmując ją tak mocno, by uściskiem zgasić rwący się w niej dreszcz. - To przeszłość. Zapomnij o tym. Wpadłaś, jak wielu innych, w wir ich miłości. Miłości, która ich samych unieszczęśliwiła, a dla innych była wręcz zabójcza. Przecież i ja... Oberwałem po głowie, chociaż tylko otarłem się o tę miłość, nawet o niej nie wiedząc. W Dun Laoghaire Tristan pokonał mnie, chociaż byłem silniejszy i bardziej doświadczony. Bo on wówczas bił się o Iseult, o swoją miłość. Nie wiedziałem o tym, oberwałem po czaszce, i tak jak ty, zawdzięczam życie tym, co byli w pobliżu i uznali za stosowne przyjść z pomocą. Uratować. Wyciągnąć z bezdennej otchłani. I uratowano nas, ciebie i mnie. Żyjemy, i do diabła z resztą.

Wsunęła mi ramię pod głowę, przesunęła dłonią po włosach, dotknęła zgrubienia, biegnącego od ciemienia po ucho. Skrzywiłem się lekko. Włosy na szramie rosną mi w dziwacznych kierunkach i dotknięcie przyprawia czasami o nieznośny ból.

- Wir ich miłości - szepnęła. - Wessał nas wir ich miłości. Ciebie i mnie. Ale czy rzeczywiście nas uratowano? A jeżeli pograżamy się w otchłani, razem z nimi? Co nas czeka, Morholcie? Morze? Łódź bez steru?

- Branwen...

- Kochaj mnie, Morholcie. Morze upomina się o nas, słyszysz? Ale póki tu jesteśmy, póki nie zakończyła się jeszcze legenda...

- Branwen...

- Kochaj mnie, Morholcie.

Starałem się być czuły. Starałem się być delikatny. Starałem się być jednocześnie Tristanem, królem Markiem i wszystkimi nieskomplikowanymi rycerzami z Tintagelu naraz. Z kłębowiska pragnień, które były we mnie, pozostawiłem jedno - pragnąłem, aby zapomniała. Zapomniała o wszystkim. Starałem się, aby w moich ramionach pamiętała wyłącznie o mnie.

Staralem się. Wierzcie lub nie.
Na próżno.
Tak mi się przynajmniej wydawało.

* * *

Ani śladu żagla. Morze...
Morze ma kolor oczu Branwen.
Chodzę po komnacie jak wilk w klatce. Serce mi wali, jakby chciało pokruszyć żebra. Coś ścisza mi przeponę i gardło, coś dziwnego, coś, co siedzi we mnie. Rzucam się w ubraniu na łożo. Do diabła. Zamykam oczy i widzę złote iskry. Czuję zapach jabłek. Branwen. Zapach piór sokoła, siedzącego na mojej rękawicy, gdy powracam z łowów. Złote iskry. Widzę jej twarz. Widzę krzywiznę policzka, mały, lekko zadarty nos. Krągłość ramienia. Widzę ją...
Noszę ją...
Noszę ją na wewnętrznej stronie powiek.

* * *

- Morholcie...
- Nie śpisz?
- Nie. Nie mogę... Morze nie daje mi zasnąć.
- Jestem przy tobie, Branwen.
- Na jak długo? Ile czasu nam zostało?
- Branwen...
- Jutro... jutro przybędzie statek z Tintagelu.
- Skąd wiesz?
- Wiem.
Milczenie.
- Morholcie?
- Tak, Branwen.
- Jesteśmy związani. Wpleceni w to koło tortury, przykuci łańcuchem, wessani w wir. Jutro, tu, w Carhaing, łańcuch pęknie. Wiedziałam o tym w momencie, gdy spotkałam cię za wybrzeżu. Gdy okazało się, że żyjesz. Gdy okazało się, że i ja żyję. Ale my nie żyjemy dla siebie, już nie, jesteśmy zaledwie częścią losów Tristana z Lionesse i Złotowłosej Iseult z Zielonej Wyspy. A tutaj, na zamku Carhaing, znaleźliśmy się tylko po to, by się natychmiast utracić. Jedynym, co nas łączy, jest legenda o miłości, która nie jest naszą legendą. W której odgrywamy niepojęte dla nas role. Która o rolach tych nie wspomni nawet, być może, albo role te wypaczy i zniekształci, włoży nam w usta niewypowiedziane przez nas słowa, przypisze nam czyny, których nie popełniliśmy. Nie ma nas, Morholcie. Jest legenda, która się kończy.
- Nie, Branwen - powiedziałem, starając się, by mój głos brzmiał twardo, pewnie i zdecydowanie. - Nie wolno ci tak mówić. Smutek, nic innego, dyktuje ci takie słowa. Bo prawdą jest, że Tristan z Lionesse umiera, i nawet jeśli Złotowłosa jest na statku, płynącym tu z Tintagelu, boję się, że może przybyć za późno. I chociaż i mnie zasmuca ta myśl, nigdy nie zgodzę się z twierdzeniem, że jego legenda jest jedynym, co nas łączy. Nigdy nie zgodzę się z tym, teraz, gdy leżę obok ciebie, gdy trzymam cię w ramionach. W tej chwili nie ma dla mnie

Tristana, nie ma legendy, nie ma zamku Carhaing. Jesteśmy tylko my.

- I ja trzymam cię w ramionach, Morholcie. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ale wiem, że nas nie ma. Jest tylko legenda. Co się z nami stanie? Co wydarzy się jutro? Jaką decyzję będziemy zmuszeni podjąć? Co się z nami stanie?

- Będzie tak, jak zechce los. Przypadek. Cała ta legenda, o której tak uparcie mówimy, jest dziełem przypadku. Serii przypadków. Gdyby nie ślepy los, mogłoby nie być legendy. Wtedy, w Dun Laoghaire, pomyśl tylko, Branwen, gdyby nie ślepy los... Przecież wtedy to on, a nie ja, mógł...

Urwałem, przestraszony nagłą myślą. Przerażony słowem, które cisnęło mi się na wargi.

- Morholcie - szepnęła Branwen. - Los zrobił już z nami to, co było do zrobienia. Reszta nie może już być dziełem przypadku. My już przypadkowi nie podlegamy. To, co się kończy, kończy się i dla nas. Bo możliwe jest...

- Co, Branwen?

- Może wtedy, w Dun Laoghaire...

- Branwen!

- Może twoja rana była śmiertelna? Może ja... utonęłam w Morzu Sabriny?

- Branwen! Przecież my żyjemy.

- Jesteś pewien? Skąd wzięliśmy się na tym wybrzeżu, jednocześnie, ty i ja? Czy pamiętasz? Czy nie wydaje ci się możliwe, że przywiozła nas tu łódź bez steru? Ta sama, która przygnała niegdyś Tristana do ujścia rzeki Liffey? Wyłaniająca się z mgły łódź z Avalonu, łódź pachnąca jabłkami? Łódź, na którą kazano nam wsiąść, bo legenda nie może zakończyć się bez nas, bez naszego udziału? Bo to właśnie my, nie kto inny, mamy zakończyć tę legendę? A gdy ją zakończymy, wrócimy na wybrzeże, a łódź bez steru będzie tam na nas czekała, a my będziemy musieli wsiąść do niej i odpłynąć, roztopić się we mgle? Morholcie?

- My żyjemy, Branwen.

- Jesteś pewien?

- Dotykam cię. Jesteś. Leżysz w moich ramionach. Jesteś piękna, ciepła, masz gładką skórę. Pachniesz tak, jak pachnie sokół, siedzący na mojej rękawicy, gdy wracam z łowów, a deszcz szumi na liściach brzoź. Jesteś, Branwen.

- Dotykam cię, Morholcie. Jesteś. Jesteś ciepły i tak mocno bije ci serce. Pachniesz solą. Jesteś.

- A zatem... żyjemy, Branwen.

Uśmiechnęła się. Nie widziałem tego. Wyczułem to z ruchu warg, przyciśniętych do mego ramienia.

* * *

Później, głęboką nocą, leżąc bez ruchu, z ramieniem odrętwiałym od ucisku jej głowy, nie chcąc spłoszyć jej trwożliwego snu, wsłuchiwałem się w szum morza. Po raz pierwszy w życiu szum ten, niby bolący ząb, niepokoił mnie, przeszkadzał, nie pozwalał zasnąć. Bałem się morza. Ja, Irlandczyk, wychowany na wybrzeżu, od kolebki osłuchany z szumem przyboju. Morze szumiało, a ja w szumie tym słyszałem śpiew zatopionego Ys. Słyszałem stłumione bicie dzwonów Lionesse, pochłoniętego przez fale. A jeszcze później, już we śnie, widziałem miotaną grzywaczami łódź bez steru, łódź z wysokim, zadartym dziobem, z masztem przybranym girlandami kwiatów.

Czułem zapach jabłek.

* * *

- Dobra Branwen... - pacholek, zdyszany, z trudem łapał oddech. - Pani Iseult wzywa cię do komnaty sir Tristana. Ciebie i sir Morholta z Ulsteru. Spieszcie, pani.
- Co się stało? Czy Tristan...
- Nie, pani. To nie to. Ale...
- Mów, chłopcze.
- Statek z Tintagelu... Wraca sir Caherdin. Przybył posłaniec z przylądka. Widać już...
- Jakiej barwy jest żagiel?
- Nie wiadomo. Statek jest zbyt daleko. Za przylądkiem.
Wyszło słońce.

* * *

Gdy weszliśmy, Iseult o Białych Dłoniach stała tyłem do okna, półotwartego, rozświetlonego błyskami, igrającymi w szybkach, tkwiących w okratowaniu ołowianych ramek. Promieniowała nienaturalnym, mglistym, odbitym światłem. Tristan, z twarzą błyszczącą od potu, oddychał ciężko, urywanie, arytmicznie. Oczy miał zamknięte. Iseult spojrzała na nas. Jej twarz była skurczona, zniekształcona dwiema głębokimi bruzdami, jakie grymas bólu wyrył po obu stronach ust.
- Jest ledwie przytomny - powiedziała. - Majaczy...
Branwen wskazała na okno.
- Statek...
- Za daleko, Branwen. Ledwie opłynął przylądek. Za daleko...
Branwen spojrzała na Tristana i westchnęła. Wiedziałem, o czym pomyślała.
Nie. Nie wiedziałem.
Słyszałem.
Wierzcie lub nie, słyszałem ich myśli. Myśli Branwen, niespokojne i pełne lęku, spienione jak fala wśród przybrzeżnych skał. Myśli Iseult, miękkie, dygocące, rozświetnione i dzikie jak ściskany w dłoni ptak. Myśli Tristana, nieskoordynowane, poszarpane jak pasemka mgły.
Wszyscy, myślała Iseult, jesteście przy tobie wszyscy, Tristanie... Branwen z Kornwalii, która jest Panią Alg. Morholt z Ulsteru, który jest Decyzją. I ja, która cię kocham, Tristanie, kocham cię coraz mocniej z każdą minutą, która mija, która mi cię powoli odbiera. Odbiera mi ciebie, bez względu na barwę żagli statku, który płynie ku brzegom Bretanii. Tristanie...
Iseult, myślał Tristan, Iseult. Dlaczego oni nie patrzą w okno? Dlaczego patrzą na mnie? Dlaczego nie mówią mi, jakiej barwy jest żagiel? Przecież ja muszę to wiedzieć, muszę, i to zaraz, bo w przeciwnym razie...
Uśnie, myślała Branwen. Uśnie i nie obudzi się już nigdy. Jest już w tym miejscu, z którego równie daleko jest do rozświetlonej powierzchni, jak do zielonych alg, porastających dno. W tym miejscu, w którym przestaje się walczyć. A potem jest już tylko spokój.
Tristanie, myślała Iseult, teraz wiem, że byłam z tobą szczęśliwa. Pomimo wszystko. Pomimo, że cały czas, będąc ze mną, myślałeś o innej. Pomimo że tak rzadko nazywałeś mnie moim imieniem. Zwykle mówiłeś do mnie: "Pani". Tak bardzo starałeś się, by mnie nie zranić. Tak bardzo się starałeś, tyle w to wkładałeś wysiłku, że właśnie tym staraniem i tym wysiłkiem raniłeś mnie najbardziej. A mimo to byłam szczęśliwa. Dałeś mi szczęście. Dałeś mi złote iskry, mrugające pod powiekami. Tristanie...
Branwen patrzyła w okno. Na statek, wyłaniający się zza przylądka. Szybciej, myślała.

Szybciej, Caherdin. Ostrzej do wiatru. Nieważne, pod jakim żagle, ostrzej do wiatru, Caherdin. Przybywaj, Caherdin, przybywaj z pomocą. Ratuj nas, Caherdin...

Ale wiatr, który od trzech dni dał, mroził i smagał mżawką, ścichł. Wyszło słońce. Oni wszyscy, myślał Tristan. Oni. Iseult o Białych Dłoniach. Branwen. Morholt... A teraz ja... Iseult, moja Iseult... Jakie są żagle tego statku... Jakiej są barwy...

Jesteśmy jak żdzbla trawy, które przyklejają się do skraju płaszcza, gdy idzie się przez łąkę, myślała Iseult. Jesteśmy żdzblami trawy na twoim płaszczu, Tristanie. Za chwilę strzepniesz płaszcz i będziemy wolni... i porwie nas wiatr. Nie każ mi patrzeć na te żagle, Tristanie, mój mężu. Proszę cię, nie każ mi.

Szkoda, myślał Tristan, szkoda, że nie poznałem cię wcześniej. Dlaczego los rzucił mnie właśnie do Irlandii? Z Lionesse bliżej było do Armoryki... Mogłem poznać cię wcześniej... Szkoda, że nie mogłem cię kochać... Szkoda... Jakie żagle ma ten statek? Szkoda... Chciałbym móc okazać ci miłość, pani. Moja dobra Iseult o Białych Dłoniach... Ale nie mogę... Nie mogę...

Branwen odwróciła się twarzą do gobelinu, płacz wstrząsnął jej ramionami. A więc słyszała również.

Objąłem ją. Na wszystkie trytony Lira, przeklinałem swoją niedźwiedziowatą niezgrabność, moje sękaty łapy i popękane opuszki palców, czepiające się jedwabiu jak rybackie haczyki. Ale Branwen, wpadając w moje ramiona, wypełniła sobą wszystko, poprawiła błędy, zaokrągliła kanty - jak fala, gdy rozmywa zryty kopytami piach na plaży. Nagle byliśmy jednością. Nagle wiedziałem, że nie mogę jej utracić. Za nic. Za żadną cenę. Nad jej głową, przyciśniętą do mojej piersi, widziałem okno. Morze. I statek.

Możesz okazać mi miłość, Tristanie, myślała Iseult. Zanim cię utracę, okaż mi ją. Jeden, jedyny raz. Tak bardzo tego pragnę. Nie każ mi patrzeć na żagle tego korabia. Nie proś, bym ci powiedziała, jakiej są barwy. Nie zmuszaj mnie, abym w twojej legendzie odegrała rolę, której nie chcę odgrywać.

Nie mogę, myślał Tristan. Nie mogę. Iseult Złotowłosa... Jak mi potwornie zimno... Iseult... Iseult... Moja Iseult...

To nie moje imię, pomyślała Iseult. To nie moje imię.

- To nie moje imię! - krzyknęła.

Tristan otworzył oczy, rozejrzał się, tocząc głową po poduszkach.

- Pani... - wyszeptał świszczącym szeptem. - Branwen... Morholcie...

- Jesteśmy tu wszyscy - powiedziała Iseult bardzo cicho.

Nie, pomyślał Tristan. Nie ma tu Iseult. A więc... jest tak, jakby nikogo nie było.

- Pani...

- Nie każ mi... - szepnęła.

- Pani... Proszę...

- Nie każ mi patrzeć na żagle, Tristanie. Nie zmuszaj mnie, bym ci powiedziała...

- Proszę cię... - wyprężył się. - Proszę cię...

I wtedy to powiedział. Inaczej. Branwen wdrygnęła się w moich ramionach.

- Iseult.

Uśmiechnęła się.

- Chciałam odmienić bieg legendy - powiedziała bardzo spokojnie. - Cóż za szalony pomysł. Legendy zmienić się nie da. Niczego nie da się zmienić. No, prawie niczego...

Urwała, spojrzała na mnie, na Branwen, wciąż objętych na tle wyszytej na gobelinie jabłoni Avalonu. Uśmiechnęła się. Wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tego uśmiechu.

Wolnym, wolniutkim krokiem podeszła do okna, stanęła w nim, wpierając w ostrołuki obie wyprostowane ręce.

- Iseult - jęknął Tristan. - Jakie... Jakie są...

- Są białe - powiedziała. - Białe, Tristanie. Białe jak śnieg. Żegnaj.

Odwróciła się. Nie patrząc na niego, nie patrząc na nikogo wyszła z komnaty. W momencie, gdy wychodziła, przestałem słyszeć jej myśli. Słyszałem już tylko szum morza.

- Białe! - krzyknął Tristan. - Iseult Złotowłosa! Nareszcie...

Głos zgasł mu w gardle jak zdmuchnięty płomień kaganka. Branwen krzyknęła. Podbiegłem do łóżka. Tristan lekko poruszał ustami. Próbował się unieść. Przytrzymałem go, lekkim naciskiem dłoni zmusiłem, by opadł na poduszki.

- Iseult - szepnął. - Iseult. Iseult...

- Leż, Tristanie. Nie wstawaj.

Uśmiechnął się. Na Luga, wiedziałem, że nigdy nie zdołam zapomnieć tego uśmiechu.

- Iseult... Muszę sam zobaczyć...

- Leż, Tristanie...

- ...ten żag...

Branwen, stojąca w oknie, tam, gdzie przed chwilą stała Iseult o Białych Dłoniach, załkała głośno.

- Morholcie! - krzyknęła. - Ten statek...

- Wiem - powiedziałem. - Branwen...

Odwróciła się.

- On nie żyje.

- Co?

- Tristan umarł. W tej chwili. To koniec, Branwen.

Spojrzałem w okno. Statek był bliżej niż poprzednio. Ale nadal był zbyt daleko.

Absolutnie za daleko, by można było rozpoznać kolor żagli.

* * *

Spotkałem ich w dużej sali, w tej, w której przywitała nas Iseult o Białych Dłoniach. W sali, w której ofiarowałem jej na usługi mój miecz, prosząc, by zechciała rozporządzić moim życiem. Cokolwiek to by miało oznaczać.

Szukałem Iseult i kapelana, znalazłem ich.

Było ich czterech.

Pewien walijski druid, imieniem Hwyrddyddwg, bystry dziadyga, powiedział mi kiedyś, że zamiary człowieka, choćby nie wiedzieć jak sprytnie ukrywane, zdradzą zawsze dwie rzeczy - oczy i dłonie. Przyjrzałem się uważnie oczom i dłoniom rycerzy, stojących w dużej sali.

- Jestem sir Mariadoc - powiedział najwyższy z nich. Na tunice nosił herb: w przepołowionym, błękitno-czerwonym polu dwa czarne łby dzicze, uzbrojone srebrem. - A to dobrzy rycerze Gwydolwyn, Anoeth i Deheu ap Owein. Przybywamy z Kornwalii, z poselstwem do sir Tristana z Lionesse. Wiedźcie nas do niego, panie rycerzu.

- Spóźniliście się - powiedziałem.

- Kim jesteście, panie? - zmarszczył się Mariadoc. - Nie znam was.

W tym momencie weszła Branwen. Twarz Mariadoka skurczyła się, złość i nienawiść wypełzły na nią, wijąc się jak żmije.

- Mariadoc.

- Branwen.

- Gwydolwyn, Anoeth, Deheu. Nie sądziłam, że was jeszcze kiedyś zobaczę. Bo mówiono, że Tristan i Corvenal wykończyli was wtedy w Moreńskim Lesie.

Mariadoc uśmiechnął się wrednie.

- Niezbadane są wyroki losu. Ja też nie myślałem, że cię jeszcze kiedyś zobaczę, Branwen.

Zwłaszcza tutaj. No, wiedźcie nas do Tristana. To, co mamy do niego, nie cierpi zwłoki.

- Skąd pośpiech?

- Wiedźcie nas do Tristana - powtórzył gniewnie Mariadoc. - Mamy sprawę do niego. Nie do jego sług. I nie do rajfurek królowej Kornwalii.

- Skąd przybywasz, Mariadoc?

- Z Tintagelu, jakem rzekł.

- Ciekawe -
uśmiechnęła się Branwen - bo statek jeszcze nie przybił do brzegu. Ale jest już blisko. Chcesz wiedzieć, pod jakim żaglem płynie?

- Nie chcę - powiedział spokojnie Mariadoc.

- Spóźniliście się. - Branwen, wciąż blokując sobą drzwi, oparła się o mur. - Tristan z Lionesse nie żyje. Umarł przed chwilą.

Oczy Mariadoka nie zmieniły wyrazu nawet na moment. Zrozumiałem, że wiedział. Zrozumiałem wszystko. Światło, które widziałem w końcu ciemnego korytarza, robiło się coraz jaskrawsze.

- Odejdźcie stąd - warknął, kładąc rękę na rękojeści miecza. - Opuśćcie zamek. Natychmiast.

- Jak się tu dostaliście? - spytała Branwen z uśmiechem. - Czy nie przypłynęliście przypadkiem łodzią bez steru? Z czarną, postrzępioną szmatą zamiast żagla? Z wilczą czaszką, przybitą do zadartego dziobu? Po co tu przybyliście? Kto was przysłał?

- Usuń się z drogi, topielico. Nie stawaj nam na zawadzie, bo możesz tego pożałować. Twarz Branwen była spokojna. Ale tym razem nie był to spokój rezygnacji i beziły, chłód rozpaczliwej, nieczulej obojętności. Tym razem był to spokój niezachwianej, żelaznej woli. Nie, nie mogłem jej utracić. Za żadną cenę.

Za żadną? A legenda?

Czułem zapach jabłek.

- Dziwne masz oczy, Mariadoc - powiedziała nagle Branwen. - Oczy, które nie przywykły do światła dnia.

- Zejdź nam z drogi.

- Nie. Nie zejdem ci z drogi. Najpierw odpowiesz mi na pytanie. Pytanie, które brzmi: dlaczego?

Mariadoc nie poruszył się. Patrzył na mnie.

- Nie będzie legendy o wielkiej miłości - powiedział, ale ja wiedziałem, że to wcale nie on mówi. - Niepotrzebna i szkodliwa byłaby taka legenda. Niepotrzebnym szaleństwem byłby grobowiec z berylu i głóg, który wyrasta z niego, by opleść gałązkami drugi grobowiec, z chalcedonu. Nie życzymy sobie takich grobowców. Nie życzymy sobie, żeby historia Tristana i Iseult wrosła w ludzi, by była wzorem i przykładem, by kiedykolwiek się powtórzyła. Nie dopuścimy, by gdziekolwiek, kiedykolwiek, młodzi mówili do siebie: "Jesteśmy jak Tristan i Iseult".

Branwen milczała.

- Nie pozwolimy, aby coś takiego jak miłość tych dwojga mroczyło w przyszłości umysły, przeznaczone do wyższych spraw. By osłabiało ramiona, których zadaniem jest łamać i zabijać. By miękczyło charaktery, które muszą dźwżyć władzę w stalowych cęgach. A nade wszystko, Branwen, nie dopuścimy, by to, co łączyło Tristana i Iseult, przeszło do legendy jako miłość triumfująca, pokonująca przeszkody, łącząca kochanków nawet po śmierci. Dlatego Iseult z Kornwalii musi umrzeć daleko stąd, przyzwoicie, w połogu, wydając na świat kolejnego potomka króla Marka. Tristan zaś, jeśli przed naszym przybyciem zdążył podle szczeznąć, musi spocząć na dnie morza, z kamieniem u szyi. Lub spłonąć. O, tak, będzie znacznie lepiej, jeżeli spłonie. Po zatopionym Lionesse zostały na powierzchni morza wierzchołki Scilly, a po Tristanie nie powinno zostać nic. A zamek Carhaing powinien spłonąć razem z nim. I to zaraz, zanim statek z Tintagel wpłynie do zatoki. I tak właśnie się stanie. Zamiast grobowca z berylu, śmierdzące pogorzeliśko. Zamiast pięknej legendy,

brzydka prawda. Prawda o samolubnym zaślepieniu, o marszu po trupach, o deptaniu uczuć innych ludzi, o czynionej im krzywdzie. Co ty na to, Branwen? Chcesz stawać na drodze nam, bojownikom o prawdę? Powtarzam, zejźdź nam z drogi. Do ciebie nic nie mamy. Nie chcemy cię unicestwić, bo i po co? Odegrałaś swoją rolę, niezbyt chlubną, możesz iść precz, wracać na wybrzeże. Czekają tam na ciebie. To samo dotyczy ciebie, rycerzu... Jak brzmi twe imię? Patrzyłem na ich oczy i dłonie i myślałem, że stary Hwyrddyddwg nie był specjalnie odkrywcy. Tak, w rzeczy samej, oczy i dłonie zdradzały ich zamiary. Bo w ich oczach było okrucieństwo i zdecydowanie, a w ich dłoniach były miecze. A ja nie miałem mojego miecza, tego, który ofiarowałem na usługi Iseult o Białych Dłoniach. No cóż, pomyślałem, trudno. W końcu, cóż to takiego, zginąć w walce? Albo to mi pierwszyna?

Jestem Morholt! Ten, który jest Decyzją.

- Twoje imię - powtórzył Mariadoc.

- Tristan - powiedziałem.

Kapelan zjawił się nie wiadomo skąd, wyskoczył jak puk spod ziemi. Stękając z wysiłku, rzucił mi przez całą salę wielki, dwuręczny miecz. Mariadoc skoczył ku mnie, wznosząc swój do cięcia. Przez moment dwa miecze były w górze - ten Mariadoca i ten lecący ku moim wyciągniętym dłoniom. Wydawało się, że nie mogę być szybszy. Ale byłem.

Uderzyłem go pod pachę, z całej siły, z półobrotu, a ostrze wcięło się skośnie aż po linię rozdzielającą barwy na jego herbie. Obróciłem się w drugą stronę, opuszczając miecz, a Mariadoc zsunął się z klingi pod nogi tamtych trzech, biegnących ku mnie. Anoeth potknął się o ciało, a ja mogłem bez przeszkód rozwalić mu głowę. I rozwalilem.

Gwydolwyn i Deheu rzucili się na mnie z dwóch stron, wpadłem między nich, wirując jak bąk z wyciągniętym mieczem. Musieli odpierchnąć, ich brzeszczoty były o dobry łokieć krótsze. Przyklękając, ciąłem Gwydolwyna w udo, czułem, jak ostrze chrupie po kości i miażdży ją. Deheu zamierzył się na mnie, przypadając z boku, ale pośliznął się we krwi, klapnął na jedno kolano. W jego oczach były przerażenie i prośba, ale nie znalazłem w sobie litości. Nawet jej nie szukałem. Sztych dwuręcznym mieczem, zadany z bliska, jest nie do odparowania. Jeżeli nie można uskoczyć, klinga wchodzi na dwie trzecie, aż po dwa żelazne zęby, które specjalnie się na niej umieszcza. I weszła.

Wierście lub nie, żaden z nich nawet nie krzyknął. A ja... Ja nie czułem w sobie niczego. Absolutnie niczego.

Rzuciłem miecz na posadzkę.

- Morholt! - Branwen podbiegła, przywarła do mnie, rozrętniona wygasającym przerażeniem.

- Już dobrze, dziewczynko, już po wszystkim - powiedziałem, głaszcząc ją po włosach, ale patrząc na kapelana, klęczącego przy konającym Gwydolwynie.

- Dziękuję ci, klecho, za ten miecz.

Kapelan uniósł głowę i spojrzał mi w oczy. Skąd się wziął? Czy był tu cały czas? A jeżeli był tu cały czas... to kim był? Kim był, u diabła?

- Wszystko w ręku Boga - powiedział, po czym znowu schylił się nad Gwydolwynem. - Et lux perpetua luceat ei...

Mimo wszystko nie przekonał mnie. Nie przekonał mnie ani pierwszym, ani drugim stwierdzeniem. W końcu to ja byłem Morholtem. To ja byłem Decyzją. A światłość wiekuista? Wiedziałem, jak taka światłość wygląda. Wiedziałem o tym lepiej od niego.

* * *

Później znaleźliśmy Iseult.

W łaźni, przytuloną twarzą do cembrowiny. Czysta, pedantyczna Iseult o Białych Dłoniach nie mogła tego zrobić gdzie indziej, jak tylko na kamiennej posadzce, przy kanale, którym odprowadzano wodę. Teraz ten kanał, na całej długości, połyskiwał ciemną, zakrzepłą czerwienią.

Przecięła sobie żyły na obu rękach. Umiejętnie, nie do odratowania, nawet gdybyśmy znaleźli ją wcześniej. Wzdłuż całych przedramion, po wewnętrznej stronie. I poprawiła w poprzek, na przegubach. Na krzyż.

Dłonie miała jeszcze bielsze niż zwykle.

I wówczas, wierzcie lub nie, zrozumiałem, że pachnąca jabłkami łódź bez steru odpływa od brzegu. Bez nas. Bez Morholta z Ulsteru. Bez Branwen z Kornwalii. Ale nie pusta.

Żegnaj, Iseult. Żegnaj na zawsze. Czy w Tir Nan Og, czy w Avalonie, na wieki, na wieczność przetrwa biel twoich dłoni.

Żegnaj, Iseult.

* * *

Opuściliśmy Carhaing, zanim zjawił się Caherdin. Nie mieliśmy ochoty z nim rozmawiać. Ani z nim, ani z kimkolwiek, kto mógł być na pokładzie statku, który przyplłynął z Kornwalii, z Tintagel. Dla nas legenda już się zakończyła. Nie interesowało nas, co z nią zrobią minstrelle.

Zachmurzyło się znowu, mżył deszcz. Normalnie, jak to w Bretanii. Przed nami była droga. Droga przez wydmy, ku tamtej, skalistej plaży. Nie chciałem myśleć, co dalej. To nie miało znaczenia.

- Kocham cię, Morholcie - powiedziała Branwen, nie patrząc na mnie. - Kocham cię, czy tego chcesz, czy nie. Czy ja tego chcę, czy nie. To jest jak choroba. Jak niemoc, która odbiera mi możliwość wolnego wyboru, która topi mnie w otchłani. Zabłądziłam w tobie, Morholcie, nigdy już się nie odnajdę, nie odnajdę siebie takiej, jaką byłam. A jeżeli odpowiesz uczuciem na moją miłość, zabłądzisz również, przepadniesz, pograżysz się w odmęt, nigdy już nie odnajdziesz dawnego Morholta. Dlatego dobrze się zastanów, zanim mi odpowiesz.

Korab stał przy kamiennym nabrzeżu. Coś wyładowywano. Ktoś krzyczał i kłął po walijsku, poganiając tragarzy. Zwijano żagle. Żagle...

- To straszna choroba, ta miłość - ciągnęła Branwen, też przyglądając się żaglom korabia. - La maladie, jak mówią ci z południa, z głębi ładu. La maladie d'espoir, choroba nadziei.

Samolubne zaślepienie, czyniące krzywdę wszystkim dookoła. Kocham cię, Morholcie, w samolubnym zaślepieniu. Nie martwi mnie los innych, których mogę niechcący wplątać w moją miłość, skrzywdzić i podeptać. Czy to nie straszne? A jeżeli odpowiesz uczuciem na moje uczucie... Dobrze się zastanów, Morholcie, zanim mi odpowiesz.

Żagle...

- Jesteśmy jak Tristan i Iseult - powiedziała Branwen, a głos załamał się jej niebezpiecznie. - La maladie... Co z nami będzie, Morholcie? Co się z nami stanie? Czy i nas połączy ostatecznie dopiero krzak głogu lub dzikiej róży, który wyrośnie z grobowca z berylu, by opleść gałązkami drugi grobowiec, ten z chalcedonu? Czy warto? Morholcie, dobrze się zastanów, zanim mi odpowiesz.

Nie miałem zamiaru się zastanawiać. Sądzę, że Branwen wiedziała o tym. Widziałem to w jej oczach, gdy odwróciła ku mnie twarz.

Wiedziała, że przysłano nas do Carhaing, byśmy uratowali legendę. I zrobiliśmy to.

Najpewniejszym sposobem.

Zaczynając nową.

- Wiem, co czujesz, Branwen - powiedziałem, patrząc na żagle. - Bo ja czuję dokładnie to samo. To straszna choroba. Straszna, nieuleczalna la maladie. Wiem, co czujesz. Bo ja również zachorowałem, dziewczynko.
Branwen uśmiechnęła się, a mnie wydało się, że słońce przedarło się przez niskie chmury. Taki był ten uśmiech, wierzcie lub nie.
Uderzyłem konia ostrogami.
- I na pohybel zdrowym, Branwen!
Żagle były brudne.
Tak mi się przynajmniej wydawało.